



NASI NAJMILSI

Jest już jesień. Dawno skończyły się piękne wakacje i, wraz z chłodnym październikiem, zapukała w Wasze okna Pani, którą nazywają Pracą.

Poznaliście już ją?

Jest strasznie wymagająca. Chce ażebyście — wszystko co robiecie — robili **dokładnie, starannie i systematycznie.**

Nie znosi leniuszków.

I tych, którzy jej słuchają — wynagradza, tym zaś, którzy starają się od obowiązków przez nią nakładnych wymigać — przynosi karę.

Jak myślicie, co jest lepiej: stanąć w szeregu dzieci sumiennych, starannych i pracowitych, których wszyscy szanują i kochają, czy też być przez wszystkich poniewieranym leniuchem?

Zastanówcie się dobrze i — **wybijcie.**

Ale jak już postanowicie — nie łamcie swego słowa, jak ten nasz Zawisza — rycerz sławny — co to wołał raczej zginąć, niż mieć brzydka sławę człowieka, zapominającego o własnym słowie.

Dzisiaj w życiu nikt nie pyta, z jakiego rodu człowiek pochodzi, czy jakie ma zasługi. Pytają tylko: **czy, co i jak umie robić.**

I po tym — jak człowiek pracuje — sądzą o jego wartości, o jego znaczeniu w społeczeństwie.

A więc **praca jest jedyną legitymacją w życiu.**

Oderwijcie się na chwileczkę od zabawy i, jak przeczytacie te słowa, zastanówcie się — pomyślcie — czy i Wy, jeszcze chodzący do szkoły lub uczący się w domu, nie potrzebujecie czegoś w sobie zmienić, ażeby już od lat najmłodszych na miano **pożytecznego dziecka polskiego** w swej rodzinie, w szkole, w gromadzie zachowej albo harcerskiej, wreszcie w społeczeństwie naszym — **zasłużyć?**

Jak to było dotychczas?

Z jakimi oczami przynosiście do Mamusi Waszej i Waszego **Tatusia** swoje cenzurki? Jakie mieliście stopnie w ciągu roku?

(Dokończenie na 2-iej stronie)

NASI NAJMILSI

(Dokończenie)

Za złych czy za dobrych dzieci uważają Was w domu, w szkole, wśród otaczających Was ludzi?

Jest jesień. Zimno. Blotno i słotno. Długie są wieczory. Dużo czasu do pracy i do zabawy.

Czy nie macie nic w sobie do przerobienia, do zmienienia na lepsze?

Jesteśmy wielką rodziną Krasnoludków. Kiedyś sobie robimy taki ogromny spis wszystkich członków naszej rodziny i obok każdego imienia wypiszemy co każdy z Was dla naszej wspólnej gromady Krasnoludków zrobił: czy spełniał należycie swoje obowiązki.

A żeby już do wylizania tych naszych obowiązków więcej nie powracać — zestawimy je raz jeszcze.

A więc każdy Krasnoludek, jako członek wielkiej Rodziny Krasnoludków, powinien:

— Uczyć się porządnie

— Spełniać dobrze wszystkie swoje obowiązki, których się podejmuje

— Kochać rodziców i pomagać im chętnie w pracy

— Czytać swoje piśmielko „Krasnoludki”

— Jeśli jeszcze tego nie zrobił, poprosić ładnie Mamusię i Tatusia, aby mu „Krasnoludki” zaprenumerowali

— Utrzymywać łączność z redakcją „Krasnoludków” przy pomocy listów, które musi do Redakcji pisać przynajmniej raz na miesiąc

— Starać się zjednać dla rodziny „Krasnoludków” jak największą ilość swoich koleżanek i kolegów.

Czy pamiętacie o tym?

A gdy by tak wypisać Wasze imiona i obok poustawiać za dobre wykonywanie obowiązków plus (+), a za złe — minus (—), ilebyście mieli plusów i ile minusów?

Czy za pisanie listów do „Krasnoludków” możecie postawić sobie plus, czy — ze wstydem przyznajac — musicie wypisać minus?

A za postępy w nauce?

A za czytanie „Krasnoludków”?

Dobrze, dobrze pomyślcie sobie nad tym i — wiecie? — zróbcie taką tabelkę z tekturki, chociażby od zeszytu, na której wytniecie i przyklejcie lub przepiszcie sobie spis wszystkich obowiązków „Krasnoludków” i co miesiąc — w ostatnim jego dniu — stawiajcie obok tych obowiązków plusy i minusy.

Nikt o tym może nie wiedzieć.

Przed sobą nie będziecie kłamali, a w końcu roku — jeśli wszystkie 12 tabliczek takich zachowacie — przysłciecie je do nas, nie podpisując ani nazwiska ani imienia.

A my wtedy podliczymy wszystkie plusy i minusy naszych „Krasnoludków”. I okaże się, których było więcej.

Zgoda?

Po-sta-raj-my się wra-z!!!

Krasnale

Na wielbłądzie przez Sacharę

(Dokończenie)

Ellama przygotowywał kolację. Przed jedzeniem mężczyźni odprawili modły zwracając się przy tym frontem na południe. Przed udaniem się na spoczynek uzgodniłem z przewodnikiem plan oraz menu na dzień następny. Niebo zachmurzyło się, było parno. Na wszelki wypadek kazalem zapas drzewa na ogień wciągnąć do namiotu. Obudzilem się w nocy pod wpływem zimna, a nad ranem nie pomogło nawet włożenie na siebie wszystkich ubrań i spora ilość koniaku. Deszczu nie było. Rano przy śniadaniu, powiedział mi jeden z beduinów, że jestem głupi, bo właśnie wcale niema deszczu, tak, jak zapowiadałem. Zadwołony z pogody El Haszmi wpadł w trans opowiadania niestworzonych bzdurow, w co sam święcie wierzył. Co chwila pytał czy jestem zadowolony i rozpoczynał lgać dalej. Aby przerwać mu natęchnienie kazalem zwinąć namioty i zarządziłem odmarsz. W ostatniej chwili zjawił się nieobecny całą noc Ali Kadi, oświadczając, że jest moim przyjacielem.

W południe zatrzymaliśmy się w kolumnie między dwoma wydhami, gdzie rozłożyliśmy obóz. Z prawdziwą przyjemnością zrzuciłem w namiocie kask i zająłem się wytrzeptywaniem piasku z ubrania. Obiad składał się z menu mocno przypominającego potrawy z dnia poprzedniego. Cztery godziny postoju urozmaiciłem krótką drzemką i oswojeniem przemiłej „panterki”, która bardzo lubiła jeść z ręki. Przed odmarszem mieliśmy kino dźwiękowe w wersji hiszpańskiej, mianowicie Ali Kadi walezył zaciekle z jednym młodym beduinem. W pojedynku tym tłukli się głowami jak byki. Po zachodzie słońca rozbiliśmy namioty na zbocz wydm. Zapadła noc, tym razem cudowna, księżycowa. Około północy obudził mnie wrzask załogi i ryk wielbłądów. Zanim zdążyłem wyjść z namiotu padło kilka strzałów. Stado 12—15 szakali wolno posuwało się po zbocz sąsiedniej wydmy, oświetlonej księżycem. Czempredziej zapaliliśmy pochodnie i dorzuciliśmy drzewa do ogniska. Przez chwilę szakale jakby się wahały czy mają rozpocząć atak czy odwrót. Zdecydowały

się na atak, lecz po kilku strzałach z każdej strzelby rozpięchły się, pozostawiając na piasku 3 sztuki zabite. Cztery ranne szakale wyjąć podążyły za stadem, z czego dwie sztuki padły z ran w odległości 100 m. Resztę nocy spędziłem przy ognisku popijając kawę.

Nazajutrz, gdy rozpoczął się ruch w obozie, słońce było już bardzo wysoko. El Haszmi na dzieńdobry począł lgać, że nad ranem słyszał ryk lwa. Tym razem szybko minął trans bujania, gdy oświadczyłem że nawet widziałem lwa, ale w ogrodzie zoologicznym.

Po wyruszeniu El Haszmi opowiadał cuda, miałem wrażenie że to jego benefis bujania. Gdy zapytał dlaczego milczę, odpowiedziałem że w poniedziałki zwykle nie mówię, że dzień ten poświęcam rozmyślaniu. Narazie uwierzył, tylko coraz szybciej przebierał palcami rąk, aż oświadczył że dziś jest niedziela. Byłbym zgubiony, gdyby nie kłamstwo z mej strony, że w Polsce właśnie mamy dziś poniedziałek — a jako turysta szanuję oba poniedziałki. Skutek tego był świetny.

Wieczorem przypadał czas pojenia wielbłądów. Noc minęła spokojnie. Wydmy spotykane następnego dnia były coraz większe, potem piasek i piasek. Ciszę przerwał Ali Kadi okrzykiem: palmy! oaza El Ouet! Chciałem być tam już najprzedziej, dość miałem tej pustki Sahary. Gdy wstepowaliśmy do oazy, poczuliśmy miły chłód cienia. W podejrzany „Hotelu” zrzuciłem ze siebie zakurzony burkus i leżąc na prawdziwym łóżku, czekałem na kąpiel. Na dworze zapadał zmrok. Zapaliłem świecę przy łóżku. Usnąłem. Śniła mi się „panterka”. Gdy obudziłem się, za oknem pięknie świeciło słońko, a w lichtarzu przy łóżku znać było ślady wypalanej świecy. Oeť

-
- Czemu płaczesz, Jasiu?
 - Bo Karol zabił komara.
 - Tak ci żal tego komara?
 - Nie, ale Karol go zabił młotkiem na mojej głowie.

W którym chłopcy zostają bożkami.

Była jeszcze zupełna noc, kiedy chłopców obudził jakiś szelest. Posiadali na ziemi, zaniepokojeni tajemniczym szmerem, i zobaczyli jakąś postać niknącą w zaroślach.

— Goryll! — szczełął zębami Wacek.

— Prędzej murzyn.

Breloczek przysunął się do Mietka.

— Murzyn — napewno nie — szepnął Mietek. — Prędzej jakiś z tej rasy... jak tam ona się nazywa?... no,...

— Wszystko jedno, ale dzięk! — szczełkał Wacek — I pewno ludożerca.

— Teraz jest bardzo mało ludożerców — odpowiedział cicho Julek.

— Nie bój się! Na nas wystarczy!...

— Co robić?

— Trzebaby się uzbroid...!

— Ba! nie mamy broni!...

— No, mamy noże składane... Dobrze

i to...
Chłopcy odpięli noże od pasków i, otworzywszy, ścisnęli je w obronnym ruchu.

— Jeśli mnie mają zjeść — to z nożem! — mrucał Julek. — Inaczej się nie zgadzam... I w szarym sosie z rodzynkami...

— Ognie! — szepnął naraz zduszonym głosem Wacek i schwycił za ręce Mietka i Julka.

— Prawda: ognie!...

Kilkaśnięcie światełek zbliżało się od strony ładu, zataczając wielkie półkole. Ogniki chwiały się nierównym płomieniem na niewielkiej wysokości od ziemi.

— Nagonka — szepnął Wacek.

Teraz pochodnie zaczęły chwiać się i poruszać, jakby dając sobie wzajemnie znaki. Słychać też było trzask lamanych gałęzi, a potem bicie kijami w pnie drzew.

— Straszą nas, co? — starał się śmiać Julek.

Mietek zerwał się:

— Trzeba coś zrobić! — zawołał. — Kto ma zapalki?

— Ja! ja!

Wacek i Breloczek gorączkowo szperali po kieszeniach. Potem słychać było pocieranie zapalek o pudełko, ale ognia nie było.

— Zamokły! — krzyknął zdławionym głosem Wacek. — A bodajże cię!

Półkole ogni zbliżało się coraz bardziej.

— Breloczek, latarkę elektryczną! —



zawołał naraz Mietek. A kiedy Breloczek wcisnął mu latarkę omackiem do ręki, Mietek rozkazywał dalej:

— Wziąć gwizdawkę do ust! Jak ja gwizdnę — gwizdać wszyscy!

Na wzgórkach zaległa cisza najzupełniejsza, a ognisty krąg zacieśniał się coraz bardziej.

— No, już, już! — jęczał Wacek, ale Mietek się nie odzywał.

— Mietek, czy ty jesteś? — szeptał dalej Wacek. — Czego nie zaczynasz?

— Ciii!... — syknął Mietek.

Krąg był zaledwie o kilkanaście kroków.

Naraz przeraźliwy, ostry, terkoczący gwizd przeszył ciszę nocną i oslepiająca smuga światła przecięła ciemność, uderzając w twarze ludzi idących półkolem.

— Oooch! — popłynęło nad tłumem i głowy poczęły chwiać się niepewnie. Zarazem tu i owdzie gasły pochodnie, tylko trójkąt światła idący zgóry żarzył się jasno i obchodził zwolna półkole, zagładając wszystkim w oczy.

Naraz rozległy się jęśliwe głosy:

— Bataara - guru! Bataara - guru!

Tlum począł się chylić coraz niżej, aż wreszcie wszyscy upadli na twarz.

Spoceni wygwizdowcy przestali gwizdać, Mietek zgasił latarkę — nastąpiła niepokojąca cisza.

— Co oni mówili? — leciuchnym szep-tem spytał Julek.

Mietek wzruszył ramionami:

— Jakieś „Bataara - guru” zdaje się... Ale co to znaczy — nie wiem.

— A gdyby tak zawołać chórem, trzy razy „Bataara - guru” i zagwizdać, co? — szeptał dalej Julek.

— A jeśli to znaczy naprzykład: „boje się”?

— E, nie. Mnie się zdaje że oni nas wzieni za jakiegoś swojego bożka.

Kiedy wyszli z lasu, zobaczyli, że już się rozwidnia i w świetle wstającego słońca stanął przed nimi wspaniały krajobraz.

Na horyzoncie rysowały się wysmukłe stożki gór czy wulkanów, a bliżej rozrzuciła się bujna, wspaniała roślinność. Nie było wprost skrawka ziemi, niepokrytego ciemno - zieloną, spletaną gęstwą. Ale nietylko podłoże było tak bogate: zewsząd strzelały kity i pióropusze drzew o najrozmaitszym kształcie. Były tam długie, zupełnie podobne do pióra, liście palm, zwisające łagodnym półkolem, były zwarte, kędzierzawe czupryny drzew o drobniejszym liściu, a niezliczona ilość odcieni zieleności i mnogość kształtów — oszalała oczy.

Następnie oczy chłopców przeniosły się na ludzi, którzy ich otaczali. Byli oni nadzy, zaledwie w biodrach przepasani kawałkiem materji lub spódniczką z liści. Wzrostu byli niewielkiego, sięgali zaledwie do wysokości półtora metra. Cera ich była ciemna, kości policzkowe wystające, oczy podługne i lekko ukośne. Wreszta wyraz ich twarzy był dość sympatyczny.

— To chyba Chińczycy, co? — powiedział półgłosem Wacek, kręcąc się na swojej lektyce.

— Nie rozmawiajmy za dużo! — powiedział jeszcze ciszej Mietek. — Musimy zachować powagę, odpowiednią naszemu stanowiisku „Batara - guru”.

— Dobrze, ale . . . przecież chcę wiedzieć u kogo jesteśmy! — niepokoił się Wacek.

— W każdym razie to nie Chińczycy, — mruknął półgębkiem Julek.

— Właśnie, że Chińczycy!

— Tsss!

W tej chwili zza kępy drzew ukazały się ludzkie osiedla. Były to raczej szalasy, niż domy, sklecone w dodatku byle jak i ledwie trzymające się kupy. Dokoła tego obozu czy wsi był płot, również niedbale i słabo umocowany, a w jednem jego miejscu widniał duży wyłom, zastępujący widać bramę.

W tej właśnie bramie dojrzeć można było spory tłum, który wykrzykiwał jaśno niezrozumiałe słowa. Kiedy jednak karawana zbliżyła się, ze środka jej wystąpił jeden z dzikich, ubrany nieco bogaciej i z dziwnym kołpakiem na głowie. Zwrócił się do tłumu i powiedział kilka słów, wśród których powtarzało się ciągle „Batara - guru”. Tłum natychmiast zamilkł i cofnął się niespokojnie.

(DCN)



— No, to krzyczmy...

I w ciemnościach nocy rozległ się potężny, chóralny krzyk „Batara - guru”, przerywany gwizdem i błyskiem latarki.

— Batara - guru! Batara - guru — odpowiedział żałośnie wystraszony tłum.

— No, jesteśmy uratowani! — powiedział Mietek — ale co dalej?

— No, niech nas gdzieś zaprowadzą... — zaproponował Julek i postąpił ku leżącym, ale ci natychmiast odsunęli się z przestrachem.

— Masz tobie: boją się teraz... Co tu robić?

Wtedy Mietek przystąpił do najbliższego dzikusa, złapał go za czupryne i podniósł do góry. Potem machnął ręką w stronę „skąd przyszła naganka i powiedział po polsku:

— Prowadź!

Dziki bełkotał coś niezrozumiale, ale już w tłumie, rozległ się głos:

— Alun - alun!

— Dobrze, niech będzie „alun - alun”! — mruzczał Mietek. — Tylko prędzej, bo spać nam się chce.

W tłumie zapanowało poruszenie: wiano ze sobą dzidy, przeplatano je gałęzmi i w kilka chwil były gotowe cztery lektyki, które zniżono przed naszą czwórka.

Chłopcy usiedli wygodnie, nie zapominawszy wreszta wziąć plecaków, a Mietek, który siedział w pierwszej lektyce, zwiadnął, błysnął latarką i zawołał:

— Batara - guru Alun - alun!

Dzicy przyjęli to radosnymi okrzykami i powtórzyli z zapalem:

— Batara - guru! Alun - alun!

Lektyki ruszyły wśród rozpalonych na nowo pochodni, a chłopcy od czasu do czasu rzucali sobie kilka słów:

— Breloczek, nie spadłeś jeszcze? — krzyczał Mietek.

— Nie! — pisał Breloczek.

Wierszyki, przysłowia i

DZWONEK SZKOLNY

Dzeń, dzeń! Kto tu leń?
Już ósma godzina!
Lekcja się zaczyna!
Dzeń, dzeń —
wołam was —
dzeń, dzeń —
do klas, do klas!
Gdy już lekcje się skończyły
wołam, dzwonię z całej siły!
Poprzez drzwi do wszystkich klas
wołam, dzwonię, że już czas!
Dzeń, dzeń!
Taki piękny dzień!
Już skończona praca!
Czas do domu wracać!

DNIE TYGODNIA

Poniedziałek mały
Tydzień rozpoczyna,
A za nim wybiega
Wesoła drużyna.
Podaj rączkę, wtorku,
Bo tu miejsce twoje.
Biegnę, biegnę prędko.
Już przy tobie stoję!
A ja was dogonię,
Bo ja jestem środa,
Za mną biegnie czwartek.
On mi rączkę poda.
Mały piątek płacze,
Ma już dość biegania,
A sobotka — butka,
Ciągłe go pogania.

MGŁA

Biała mgła, szara mgła
zawiesiła się na drzewach
i od rana trwa.
Mglisty dzień, szary dzień.
Szary, mroczny, mglisty cień
— już na wszystko padł.

JADĄ ZUCHY

Jadą zuchy na bułanach.
Od rotmistrza do ułana,
A pod każdym konik hasa.
Jakby tańczył obertasa.
Sterczą lance ponad uszy —
Każdy ułan — z ciała z duszy!
Nie zna lęku i obawy.
W domu wesół, w boju żwawy.
— **Pópieszajmy w swoje pędy.**

I roznośmy wiarę wszędy:
Że wskrzeszamy ojców męstwo:
— Hurra! Naprzód! Na
Zwycięstwo!!!

Aleksander Anik-Nikończuk

PRZYSŁOWIA ARABSKIE

Arabowie posiadają bogatą literaturę przysłowiową. Arab Meidani ułożył zbiór, który zawiera aż 600 przysłów arabskich. Oto niektóre przysłowia arabskie:

- Chmura nie szkodzi szczekaniu psa.
- Słabszy niż echo.
- To leży na grzbiecie kija (to znaczy, że jest łatwe do otrzymania).
- Kij tchórza jest długi.
- Nie bądź słodki aż do połknięcia, ani gorzki aż do wypłucia.
- Lepiej jest źle się na koniu trzymać, niż pięknie spadać.
- Strzeż się, żeby ci twój język nie uciał szyi.
- Sen rozprasza gniew.
- Lekarstwo na gniew — milczenie.
- Lepiej być psem swobodnym, niż lwem związanym.
- Świat jest zwierciadłem; patrz w nie, a ono ci odbije twój obraz.
- Milczenie jest najlepszą odpowiedzią głupcom.
- Czerp wiedzę choćby nawet z pyska krowy.
- Nie powierzaj kotowi kluczków od gołębnika.
- Każdy kogut pieje najgłośniejsze na własnej grzędzie.
- Czyń dobro i wrzucaj do morza (t. j. nie spodziewaj się wdzięczności).

PRZED LEKCJAMI

Na podwórku przed lekcjami
bawimy się z kolegami.
Bo po szkole, czy przed szkołą
zawsze, wszędzie nam wesoło.
A ten pan, co taki groźny,
to pan Michał, to nasz woźny
Choć wąsami rusza srogo,
nie przestraszy tem nikogo.
Duży dzwonek trzyma w dłoni
i tym dzwonkiem głośno dzwoni.

opowiadanka

Widział Gru - Grucha i Jasiek, mały muzykant, co skrzypki z gonta zrobił sobie. Jemu duszek tak śpiewał:

Jasiek, hej! Jasiek, hej!
dej mi skrzypki, dej,
dej, dej, dej,
o hej!

WILK I ŚWINKI

Były sobie świnki trzy
i był także wilczek zły.
Świnki w domkach kryły się,
bo zły wilczek zjeść chciał je...

Każda świnka miała swój domek. Jedna ze słomy, druga z chróstu, trzecia zaś mocny, z cegieł.

Przyszedł raz wilczek pod chatkę ze słomy. Słucha, słucha: świnka gra na flecie. Nadał się wilk, dmuchnął mocno. Zdmuchnął chatkę ze słomy. Ale świnki nie złapał. Uciekła z fletem do drugiej chatki. Do tej z chróstu.

Pobiegł tam wilczek. Dmucnął raz — nic, drugi raz — nic. Jak się nie nadmieł! Zdmuchnął pół chatki. Ale obie świnki uciekły do trzeciego domku. Do tego z cegły.

Siedzą trzy świnki w domku. Boją się.

Przybiegł wilczek. Dmucnął — nic. Drugi raz dmucnął — nic. Dmucnął, dmucnął, aż schudł z tego dmuchania — i nic. Więc wrócił do boru głodny i zły.

Świnki wyszły przed chatkę. Jedna gra na flecie. A tamte tańczą i śpiewają śliczną piosenkę:

Były sobie świnki trzy
i był także wilczek zły...

DUSZEK GRUSZOWY

A z tym duszkiem, Gru-Gruchem, to było tak: Widziała go Hania, co z mama buraki w polu pella. Gru-Gruch siedział na szczycie dzikiej gruszy i na skrzypczkach z gałązek tak rzewnie grał: Li-lu li-lu laj, Boże pomagaj!

Widział go i Józik Kapustka, co z Burkiem do lasu szedł. Gru-Gruch pacnął psa ulegątką. Wściekły z gniewu Burek podskoczył do gruszy i szczeakał, jak najęty. Ale Gru-Gruch nic sobie z burkowego szczekania nie robił. Huśtał się na cieniułkiej gałązce i taką śpiewankę układał:

Piesek, piesek, piesek,
niesie dziesięć desek,
niesie, niesie nieboraczek
dziesięć desek na wiatraczek,
trrr... bum!

Tego bum... tak przeląkł się Burek, że ogon podwinął i umknął do lasu.

IDZIEMY DO SZKOŁY

Mam już siedem lat
Dalejże mi w świat —
Iść do milej szkółki czas
Z kolegami wraz.
Książeczkę już mam.
Strzegę jej od plam
A dobra mamusia ma
Da zeszyty dwa.

Zabawmy się

ZŁOTY KWIAT

Po środku między dwoma metami odległymi od siebie o 40 kroków nakreśla się dla każdego z grających kółko o średnicy 1 metra, w którym jest „złoty kwiat”. Mogą to być okrągłe tekturowe kółka żółtego koloru, a z braku ich kamienie jednokawowej wielkości lub berety zuchów.

Gdy wódz wymówi:

„Kto — w największym pędzie,
Złoty kwiat zdobędzie?” —

zuchy wybiegają do drugiej mety „zrywając” w pędzie „kwiat”. Który pierwszy dotarł do niej ze swoim kwiatem — wygrywa.

Biegi te mogą się potem odbyć na szczudlach. Wtedy — „zrywając kwiat” zuchy schodzą ze szczudła.

ZMORA

Pod stołem na kocu, twarzą w dół, leży zuch, udając śpiącego. Inne, po kolei, muszą wleźć na stół i stanąć na nim. Winny to uczynić cicho, by „śpiący” tego nie usłyszał i nie spędził „zmory” słowami: „A kyszi!” Wówczas pozostali mówią:

„W samą porę
Spędził zmorę!”

poczym następuje zmiana.

Wygrywa „zmora” kiedy wyprostowawszy się, tupnie w stół nogą.



Najnowsze łodzie podwodne mogą pokonywać odległości 30000 km, i to w przeciągu 3 miesięcy, bez zawijania do portu, nie uzupełniając wcale zapasu materiałów pędowych. Te łodzie mogą zanurzać się do głębokości 112 m, i przebywać tam w warunkach normalnych 3 dni. Jeżeli zajdzie konieczność, mogą zatrzymać się pod wodą nawet przez cały miesiąc.

W komunikacji powietrznej zaczęto używać pociągów lotniczych. Do zwykłego aeroplanu doczepia się szybowce i ten że holuje. Niedawno taki pociąg odbył podróż z Warszawy do Finlandji.

Kauczuk otrzymuje się z soku kilku gatunków drzew, rosnących w okolicach przyrównikowych. Z naciętych drzew kauczukowych wypływa biała ciecz, podobna do mleka, która zbiera się w przymocowanych specjalnie naczyniach. Zbrany sok przesącza się przez drobnitkie sita, poczym w specjalnych skrzyniach przy pomocy odczynników chemicznych powoduje się skrzepnięcie zawartego w nim kauczuku. Wydzielający się z cieczy kauczuk wybiera się, przemywa, wyćiska się z niego przy pomocy szklanych wałków wodę, rozwałcowuje na maszyny nacisk i suszy.

Pierwotną ojczyzną koni była Ameryka. Z biegiem czasu w ojczyźnie swej wyginęły konie doszczętnie. Natomiast końskie emigracje, które kiedyś przewędrowały na inne kontynenty, napotkały na dobre warunki i świetnie się rozwinęły. Dzięki człowiekowi powróciły do swej praojczyzny i bardzo się rozmnożyły. Obecnie jest ich znów coraz mniej, bo stepy zajęto pod uprawę, a oswojonego konia zastępuje auto i traktor.

Różne gatunki mrówek mają często bardzo ciekawe obyczaje.

Są mrówki wędrownie, maszerujące wielkimi kolumnami z miejsca na miejsce, w poszukiwaniu pożywienia. Ten gatunek mrówek możnaby porównać z kozłownikami.

Żyją gatunki osiadłe „rolników”, upra-

wiające sobie na pokarm specjalne grzyby.

Inne znów, jak żyjąca u nas wściekliszcę, można porównać do średniowiecznych rycerzy rabusiów. Mają one swoje grodmrowiska, z których robią napady na osady innych gatunków.

Dla uzyskania futerek zabija człowiek olbrzymie ilości zwierząt. Obliczają, że corocznie ginie z ręki człowieka: około 100 tysięcy wydr, 500 tysięcy kun, 500 tysięcy tchórzów, 150 tysięcy soboli, 1 milion kretów, 150 tysięcy kangurów, 500 tysięcy praczy, półtora miliona skunksów i wiele, wiele jeszcze innych zwierząt o ładnym futerkach.

Iskierki

W HARCERSKIEJ PORADNI ZDROWIA

Lekarz: płuca wasze, Druhu, są bardzo kiepskie, możecie pożyć z nimi najwyżej pół roku. Zato serce macie wyśmienite. Wystarczy wam na ładnych parę lat.

KWIATKI STYLISTYCZNE

W czasie włóczęgi wakacyjnej naknąłem się w pewnej miejscowości na takie ogłoszenie o nieuwiązanych psach: „Kto ma psa i biega nieuwiązany, zostanie zastrzelony”.

AUTENTYCZNY KWIT Z CZASU KRZYSU

„Zł. 50 od obozu harcerskiego — dzięki Bogu — otrzymałem. Feinkind”

WYTRAWNY AUTOMOBILISTA

- dlaczego panu opona pękła?
- najechałem na butelkę.
- nie zauważyłeś, że leży na drodze?
- nie, ten człowiek miał ją w kieszeni.

NASZE ZUCHY

- Co? ty-zuch, i przychodzisz do szkoły bez ołówka? A jak się nazywa taki żołnierz, co idzie na wojnę bez karabina?
- General, proszę pana!